

## Moraskoitówka wysokooktanowa

Upał na poznańskim Morasku nie żartował. Lipcowe słońce prażyło zbocza Góry Moraskiej tak mocno, że nawet polne myszy zaszyły się głęboko w chłodnych norach, a liście dębów w rezerwacie zwisły bezradnie jak uszy starego ogara. Jednak w szopie Staszka, ukrytej za ścianą gęstych bzów, panowała aura zgoła innej natury. Pachniało tam smarem, starym żelazem i – przede wszystkim – buzującymi drożdżami.

Staszek, człowiek o dłoniach twardych jak bruk na Starym Rynku i spojrzeniu, które wyciskało odpowiedzi bez zadawania pytań, stał nad swoim najnowszym dziełem. Jego aparatura, zmajstrowana z trzech baniek po mleku, chłodnicy od Stara i nadziei na lepsze jutro, wydawała z siebie niepokojące syczenie.

– Też, no nie sycz mi tu jak żmija, bo cię sprzedam na żyłki – mruknął pod nosem poprawiając miedzianą rurkę.

Problem polegał na tym, że połączenie przy chłodnicy puszczało. Para, która za kilka godzin miała stać się najczystsza „księżycówką” w powiecie, uciekała bokiem. Samogoniarz rozejrzał się gorączkowo za czymś ciężkim. Wzrok padł na Żelazną Pyrę.

Żelazna Pyra była bryłą metalu wielkości sporej dyni, którą lokalny wynalazca wykopał pod lasem jeszcze za rządów pruskich. Kamień był nienaturalnie ciężki, pokryty dziwnymi wgłębieniami, które wyglądały jakby ktoś powciskał w niego kciuki, gdy metal był jeszcze miękki jak plastelina. Przez ostatnie czterdzieści lat służył wiernie jako docisk do beczki z kiszoną kapustą, ale dziś miał awansować do rangi strażnika technologii.

Bimbrownik stęknął, podniósł osiemdziesięciokilogramową bryłę i z nabożną ostrożnością położył ją na miedzianym kolanku aparatury.

– Trzymaj to teraz, ty kosmiczny bękarcie – sapnął ocierając pot z czoła.

Stało się wtedy coś, czego nie przewidział żaden podręcznik małego chemika, ani nawet najstarsi mędrcy z Suchego Lasu. Gdy gorące opary uderzyły w zimną powierzchnię meteorytu, ten zamiast zwyczajnie skraplać opary, zaczął... buczeć. Cichy, narastający dźwięk, przypominający transformator pod ogromnym napięciem, wypełnił szopę. Z regmagliptów zaczął sączyć się gęsty, neonowo-błękitny płyn. Staszкови opadła szczęka

widząc jak kropelki substancji spływają prosto do wylotu chłodnicy. Pierwsza strużka gotowego wyrobu, która trafiła do szklanego gąsiorka, nie była, o dziwo, przezroczysta. Była błękitna jak oczy niemowlęcia i świeciła własnym, pulsującym światłem.

– No tośmy się doigrali – szepnął samogoniarz nerwowo przecierając czoło brudną szmatą.

– To nie bimber! To paliwo rakietowe!

Zapach błękitnego trunku zaczął mieszać się z aromatem rozgrzanej blachy falistej tworząc mieszaninę, od której kręciło się w głowie. W tym samym momencie z podwórka dobiegło przeciągłe, nienaturalnie melodyjne ryczenie. Krasula, jedyna krowa Staszka, właśnie poczuła pierwsze drgania kosmicznej koniunkcji.

Domorosły konstruktor wpatrywał się w błękitny gąsiorek jakby ten miał zaraz eksplodować albo zacząć recytować listę przebojów. Zapach, który unosił się nad naczyniem, był przedziwny – niby tradycyjna, swojska nuta zacieru, ale podszyta czymś chłodnym, metalicznym, jak powietrze tuż przed intensywną burzą.

– Raz kozie śmierć – mruknął sięgając po musztardówkę. Nalał tylko odrobinę. Płyn był gęsty, niemal oleisty, a kiedy zbliżył go do ust, włosy na rękach stanęły mu dęba. Jednym szybkim ruchem wychylił zawartość.

Najpierw poczuł lód. Potężne uderzenie mrozu przeszło mu przez gardło jakby połknął sopel wyciosany prosto z komety. Sekundę później wybuchł ogień, ale nie ten piekący, od którego łzawią oczy, lecz przyjemne, elektryczne mrowienie, które rozeszło się od żołądka aż po koniuszki palców u nóg.

Nagle świat wokół drgnął i wyostrzył się tak bardzo, że widział każdą pojedynczą drobinę kurzu wirującą w słupie światła. Ale to nie wszystko. Na powierzchni artefaktu dostrzegł coś zupełnie nowego. Te wszystkie wgłębienia i bruzdy zaczęły jarzyć się słabym światłem układając się w skomplikowane wzory przypominające rzędy dziwnych, kanciastych liter.

– No niech mnie gęś kopnie... – wykrztusił.

Jego własny głos brzmiał teraz w jego głowie jak głęboki rezonans w pustej cysternie. Wyszedł z szopy na miękkich nogach. Podwórce wyglądało inaczej. Widział teraz cienkie, świetliste nitki łączące ziemię z niebem – linie pola magnetycznego, o których coś tam kiedyś słyszał w telewizji, a które teraz wydawały się tak oczywiste jak płot odgradzający go od sąsiada.

Krasula stała przy korycie żując leniwie resztki zacieru, które wylał jej chwilę wcześniej. Gdy tylko go zobaczyła przestała mieć ozorem i wyprostowała się przybierając postawę godną profesorów z poznańskich uczelni.

– No, nareszcie, Stanisławie – usłyszał.

Głos nie dobiegał z zewnątrz, ale rozbrzmiewał prosto w jego potylicy. Głęboki, spokojny i podszyty lekkim zniecierpliwieniem.

– Myślałam, że będę musiała zacząć do ciebie pisać kopytem na piasku, a to, jak sam wiesz, przy moim braku kciuka przeciwnego jest drogą przez mękę.

Gospodarz oparł się o futrynę szopy, bo kolana miał jak z waty.

– Krasula? To ty... ty gadasz? – wybełkotał.

Krowa westchnęła tak ciężko, że aż pył zawirował na drodze.

– „Gadasz” to termin bardzo prymitywny. Ja transmituję. A ty, dzięki tej błękitnej miksturze, w końcu przestałeś nadawać na częstotliwości ameby. Mamy mało czasu, Stanisławie. Twoja instalacja do bimbru właśnie odbezpieczyła węzeł transportowy, który spoczywa pod tą górą od pięciu tysięcy lat.

Podeszła do niego bliżej, a jej wielkie, mądre oczy patrzyły teraz prosto w jego zdumioną twarz.

– Słuchaj mnie uważnie, bo nie będę powtarzać – kontynuowała krowa, a w jej głosie pojawiła się nuta twardej, wielkopolskiej konkretności.

– Ten kamień w twojej szopie to nie jest zwykła ruda. To mobilny terminal sterujący. A te siedem dziur w lesie, które wy, ludzie, nazywacie kraterami to nie są ślady po uderzeniu. To dysze.

Staszek przełknął ślinę. Poczuł jak błękitny płyn znów pulsuje mu w żyłach.

– Dysze? Od czego? – zapytał szeptem.

Krasula machnęła ogonem jakby odganiała wyjątkowo natrętną myśl.

– Od czegoś, co sprawi, że Suchy Las stanie się nazwą bardzo adekwatną jeśli nie schłodzimy rdzenia w ciągu najbliższych trzech godzin. Potrzebujemy więcej tego twojego świecącego napitku. Dużo więcej.

...

Zdzisław Batuta nie przyjechał – on nadciągnął niczym chmura gradowa nad uprawę buraków. Jego radziecki, dwusuwowy IŻ-49 rzeził i dymił tak zapamiętale, jakby chciał wziąć

udział w bicie rekordów emisji spalin, a pisk hamulców na zwirowym podjeździe brzmiał jak agonia stada mew.

Sołtys zsiadł z maszyny, poprawił kaszkiet i odruchowo wyciągnął z bocznej kieszeni kamizelki notes z napisem „Ewidencja uchybień”. Jego nos, czerwony od słońca i wieloletniego tropienia niesprawiedliwości społecznej, drgnął gwałtownie.

– No, Stanisławie... – zaczął urzędnik mrużąc oczy za grubymi szklami okularów.

– Czuć tu u ciebie jakąś... innowację. A każda innowacja bez zgłoszenia do gminy to, jak powszechnie wiadomo, samowolka budowlana albo i gorzej.

Zdzisław wkroczył na podwórze wężąc jak locha za truflami. Zatrzymał się metr od Krasuli, która wciąż stała wyprostowana patrząc na niego z mieszkanką politowania i naukowej ciekawości.

– Co ty tu, Stachu, wylewasz pod te bydlę? – zapytał wskazując palcem na resztki świecącego zacieru w korycie.

– To błękitne jakieś... Barwnik spożywczy? Czy może płyn do chłodziń z PGR-u podpierdzielony? Bo jeśli to chemia, to ja tu zaraz inspektora od ochrony środowiska ściągnę!

Staszek, w którego żyłach wciąż pulsowała kosmiczna energia, próbował zasłonić sobą wejście do szopy.

– Tej, Zdzichu, daj spokój! To tylko... taka nowa pasza. Wysokobiałkowa. Z dodatkiem witamin – wybełkotał czując, że jego własny głos brzmi teraz jak syntezytor mowy.

W tym momencie Krasula nie wytrzymała. Odbiło jej się błękitnym oparem, a potem patrząc prosto w osłupiałą twarz sołtysa wycodziła:

– Panie Batuta, z całym szacunkiem dla pana funkcji publicznej, ale pańska obecność tutaj wprowadza niepotrzebny szum w polu magnetycznym. Pański pojazd ma przebicie na masie, co dramatycznie zakłóca moją próbę nawiązania kontaktu z modułem pozycjonowania kwantowego.

Sołtysowi notes wypadł z ręki prosto w błoto. Poblądł, potem poczerwieniał, a na koniec zaczął gwałtownie otwierać i zamykać usta przypominając karpia wyrzuconego na brzeg Warty.

– Stachu... – wykrztusił w końcu nie odrywając wzroku od krowy.

– Twoja krowa... ona... ona użyła terminologii technicznej! I to z poznańskim akcentem!

– Przecież mówię, że witaminy dają! – bronił się rozpaczliwie Staszek.

Krasula jednak nie zamierzała przestać.

– Stanisławie, nie trać czasu na wyjaśnianie zjawisk nadprzyrodzonych osobom o horyzontach myślowych ograniczonych do szerokości rowu melioracyjnego. Spójrz na Żelazną Pyrę!

Z szopy dobiegł metaliczny szczęk. Kamień pobudzony obecnością motocykla zaczął generować pole tak silne, że wszystkie klucze w kieszeniach Zdzisława nagle stanęły pionowo, a jego kaszkiet, który miał w daszku metalowe usztywnienie, wystrzelił w górę jak z procy i przylepił się do ściany budynku.

– Ratunku! Poltergeist! – wrzasnął Batuta łapiąc się za spodnie, których suwak niebezpiecznie ciągnął go w stronę Staszkowej aparatury.

– Zdzichu, stój! To nie duchy! To fizyka! – krzyknął gospodarz rzucając się na sołtysa, by go odciągnąć.

– Musimy jechać do rezerwatu! Do kraterów! Jak tego błękitnego bimbru tam nie dolejemy to nam całe Morasko w kosmos wystrzeli!

Sołtys, choć przerażony, poczuł nagle zew obowiązku. Albo strach przed utratą elektoratu w wyniku międzygalaktycznej eksplozji.

– Do kraterów? Bez zezwolenia dyrekcji lasów? – pisał, ale gdy zobaczył jak jego ciężki jednoślad zaczyna powoli lewitować dwa centymetry nad ziemią, zmienił zdanie.

– Dobra! Pakujcie to świecące cholerstwo na wózek! Ja... ja jadę przodem! Torować drogę! Ale mandat za gadającą krowę i tak wypiszę! Jak już przeżyjemy...

...

Kawalkada ruszyła. Przodem pędził Zdzisław na swoim IŻ-u, który pod wpływem magnetycznej aury Żelaznej Pyry przestał kopcić, a zamiast tego zaczął wydawać z siebie dźwięki przypominające chorał gregoriański. Za nim Staszek na Ursusie z Krasulą dumnie stojącą na przyczepie obok gąsiorków błękitnej mikstury.

Wjechali w gęstwinę rezerwatu. Powietrze tutaj drżało. Między dębami zaczęły przemykać geometryczne cienie – na pniach drzew pojawiały się i znikwały figury Widmanstättena przypominające srebrzyste, metaliczne sploty.

– Panie Batuta, niech pan uważa na korzenie! – ryknęła Krasula, przekrzykując ryk silnika.

– Pańska percepcja liniowa jest żalosna. Znajdujemy się w punkcie, gdzie grawitacja staje się pojęciem czysto umownym, a pan się martwi o amortyzatory!

– Ja się martwię o przepis o ruchu leśnym, ty mądralo w łaty! – odkrzyknął sołtys kurczowo trzymając się kierownicy.

– Tu jest zakaz wjazdu pojazdów silnikowych!

– Przestańcie się żreć! – uciszył ich Staszek, gdy dotarli do krawędzi największego krateru.

Zatrzymali się. Woda w niecce była czarna, ale gdy meteoryt znalazł się blisko brzegu, tafla zaczęła wirować. Bimbrownik spojrzał na Krasulę.

– Dobra, profesorze. Co teraz?

Krowa zeskoczyła z przyczepy z gracją baletnicy.

– Stanisławie, musisz zrozumieć jedno. Wasz gatunek postrzega rzeczywistość jak sznekę z glancem – widzicie tylko słodki wierzch. Tymczasem wszechświat to wielowarstwowe ciasto drożdżowe połączone kwantowym splątaniem. Tak jak mówiłam, te kratery to nie zwykłe dziury po kamieniach, ale coś znacznie bardziej subtelного – jak pocałunek kosmosu. To porty komunikacyjne. Regmaglipty na tym żelastwie to klawiatura. Musisz wlać miksturę do siedmiu oczek w odpowiedniej sekwencji, jednocześnie korygując temperaturę rdzenia tym lewym wgłębieniem, a koordynaty środkowym, inaczej lokalna struktura czasoprzestrzeni zwinie się jak stare kalesony.

Zdzisław Batuta stał z boku nerwowo obgryzając paznokcie.

– Stachu, ona mówi o kalesonach, a tam woda świeci na fioletowo! – wskazał drżącym palcem na krater numer dwa.

Zaczęli biegać. Staszek z bańką błękitnego trunku, co chwila wciskając kolejne wgłębienia na Żelaznej Pyrze, Zdzisław z miarką, którą krowa kazała mu mierzyć „kąt padania magnetyzmu”, a Krasula dyrygowała całością rzucając terminami o bozonach i oscylacjach. Gdy ostatnia kropla błękitu wpadła do siódmego jeziora ziemia pod ich stopami zagrzmiała niskim basem.

Nagle z nieba prosto w środek największego krateru uderzył snop białego światła, a zamiast oczekiwanego huku, rozległ się dźwięk, przyjemny acz przerażający, przypominający otwarcie gigantycznej puszki z piwem. Z blasku wyłoniła się postać.

Nie był to jednak zielony ludzik, jakiego można było się spodziewać. Przybysza można było pomylić z turystą, który zgubił drogę do Sopotu. Miał na sobie sandały ze skarpetami, poliestrową koszulkę i nerkę przewieszoną przez ramię. Jedyne jego skóra lekko migotała srebrzystym odcieniem stali.

– No, nareszcie! – powiedział Obcy wycierając czoło chusteczką.

– Myślałem, że dostawa z Moraska znowu utknęła na węźle logistycznym w Pasie Asteroid.

Zdzisław wyprężył się jak na paradzie.

– Zdzisław Batuta, sołtys! Czy posiada pan pozwolenie na lądowanie w strefie chronionej? – zapytał odruchowo choć głos mu drżał.

Kosmita spojrzał na niego znad niemodnych okularów.

– Panie sołtysie, ja tu tylko odbieram paliwo do fermentacji międzywymiarowej. Ta wasza „Żelazna Pyra” to najstarszy model drożdży magnetycznych w tej galaktyce. No, technicznie rzecz biorąc, to ich skamieniały procesor sterujący, ale dla nas to fundament każdej porządnej destylacji. W każdym razie, bez tego nasze wesela są nudne jak flaki z olejem.

Przybysz podeszedł do Staszka i uściśnął mu dłoń. Ręka Obcego była zimna i pachniała ozonem.

– Dobra robota, Stanisławie. W nagrodę za uratowanie ciągłości imprezowej wszechświata zostawiam wam mały prezent.

Kosmita pstryknął palcami i zniknął w kolumnie światła, która wessała też Żelazną Pyrę i puste gąsiorki. Po chwili w rezerwacie zapadła głucha cisza. Tylko woda w kraterach wciąż lekko błękitniała.

– I co? To już? – zapytał Batuta patrząc na swój pusty notes.

– Ani mandatu, ani zdjęcia do gazety?

Krasula podeszła i potarła łbem o jego ramię.

– Nie narzekaj, Zdzisławie. Spójrz na swój motocykl.

Iż sołtysa nie lewitował już, ale w miejsce benzyny w baku chlupotał płyn, który pachniał jak najlepsze na świecie pyry z gzikiem. A traktor Staszka? Ursus zyskał nowy, chromowany silnik, który zamiast warczeć nucił pod nosem utwory Mozarta.

Samogoniarz uśmiechnął się patrząc na Górę Moraską. Wiedział, że nikt mu nie uwierzy, ale gdy wieczorem wrócił do szopy i zajrzał do beczki z kapustą, znalazł tam mały, lśniący odłamek metalu. Połyskiwał delikatnie, a gdy go dotknął, usłyszał w głowie głos Krasuli: „Stanisławie, nastawiaj kolejny zacier. Za rok mają dożynki w Gwiazdozbiorze Kasjopei”.

Gospodarz puścił oko do krowy, która właśnie wróciła do przeżuwania zwykłej trawy.

– No, to za pomyślność galaktyki, Krasula!